

Znaczy, ja jestem rodowitą nowodworzanką. Urodziłam się zaraz po wojnie, bo w 1945 roku, w lipcu na szczęście, po dwudziestym trzecim, nie – w dwudziestym drugim lipca, bo to może wtedy święta nie było. I urodziłam się tu na Paderewskiego, wtedy było Paderewskiego 28, tam się ta numeracja zmieniała, i... z resztą, w tym domu się urodziłam, moja mama była położną, więc sama sobie mnie odebrała. Razem z moją starszą siostrą, która miała 9 lat. Mój tatuniek poszedł szukać akuszerki takiej środowiskowej. Jak wyszedł, jak wrócił to ja byłam już na tym świecie. Także kobiety dawno były bardzo samodzielne, same potrafiły sobie same odebrać dziecko. A co to jest 9-letnia dziewczynka, która pomaga. Z tym, że tamte dziewczynki były bardzo samodzielne, nie to dzisiaj, umówmy się.

I ten... no i co? Tutaj chodziłam i mieszkalam cały czas na Paderewskiego aż do (19)68 roku. W (19)67 wzięłam ślub i wtedy na rok wyjechałam do Kosewy do męża. A potem dostałam za rok mieszkanie w pierwszym bloku, który wtedy stanął na Półku.

Natomiast w tym domu Pana Nawaduńskiego, się wtedy mówiło. Przechodziłam, ponieważ tu mieszkali moi koledzy z klasy i moja koleżanka. Na pierwszym piętrze często tam macie takie różne, kiedyś wernisaże były.

Tam mieszkali Chojniccy. A obok właśnie była moja koleżanka, z którą chodziłam do szkoły. Niżej, na dole zaczynały się pola, tam gdzie dzisiaj, jak tak spojrzeć tak można powiedzieć jak te budynki. Tam było bajoro, stawy. Na dole mieszkał Jakubowski. Tam chodziliśmy na łyżwy, z górki zjeżdżaliśmy, bo to była stroma. To była górka, z tej górki się zjeżdżało, na sankach, na siedzeniu, na misce, bo na misce też się jeździło. Także ja spędziłam całą młodość praktycznie w takim trójkącie. A jeszcze bardzo ważna rzecz: ulica Paderewskiego, kiedyś nazywała się Aleją Paderewskiego –była to dla mnie, dla dzieciaka taka reprezentacyjna ulica. Kiedy spadł pierwszy śnieg i się ubiło, bo wszyscy chodzili tą ulicą tam się najlepiej jeździło na łyżwach. Do torów i z powrotem kiedyś się mówiło, bo stacja kolejowa była wiadomo dużo, dużo dalej. No i co, po drugiej stronie był ksiądz, który utrzymywał z nami bardzo dobre stosunki. Mój tata był krawcem, mama położną. Tata się społecznie bardzo udzielał, więc ksiądz też przychodził do nas na uroczystości można powiedzieć. Do szkoły chodziłam najpierw do „dwójki”, a „dwója” mieściła się w tym domu komunalnym, w tej chwili co jest na Warszawskiej. A na dole co była biblioteka to na górze była szkoła. Wchodziło się od tyłu, pod taką wielką bramą, ciemną, od przodu. Tam chodziłam do połowy siódmej klasy. W połowie siódmej klasy otworzyli „jedynekę”, wybudowali na Słowackiego, jeszcze wtedy nie była ogrodzona ani nic. No nas tak trochę rozparcelowali. Ja mieszkalam po tej stronie, więc automatycznie poszłam tam, czyli ostatnie pół roku byłam już nie u Pana Wójcika, u Pana [nie zrozumiałe]. On był kierownikiem wtedy, tak

kierownikiem szkoły. I tam, do dzisiaj mam zdjęcia jak odbieram z jego rąk w mundurku harcerskim, bo ja byłam drużynową, odbieram świadectwo i tak dużo dzieci jakoś przed placem, jeszcze było wybudowane z desek, takie różne rzeczy.

Potem liceum w Modlinie. Przy czym pierwsze trzy lata to w ogóle chodziło się na pieszo, bo nie było żadnego autobusu. Kiedyś tam się nie myślało o jeżdżeniu taki kawałek do Modlina, do liceum. A liceum mieściło się zaraz za mostem po lewej stronie w budynek takim czerwonym, gdzie tam stoi taki opuszczony, chyba Pollena go przejęła. A przedtem ten budynek, pamiętam, że moja mama była w komitecie rodzicielskim. To nawet grodzili plac, żebyśmy mieli gdzie się bawić. Bawić - zajęcia w-f-u były. Także tam trzy, cztery lata byłam.

*A właśnie czy o tym harcerstwie może Pani więcej powiedzieć?*

Harcerstwo we mnie zaszczepiła mi mama. Mama była taką osobą, która jeździła jako pielęgniarka na obozy. Jak ja byłam takuśka maluśka to wtedy jeździło się na obozy na trzy tygodnie. To były naprawdę obozy nie takie jak dzisiaj, się jechało, trzeba było sobie siennik, worek napchać słomą. Łóżko z pryczy zbudować, latryny zbudować, więc ten pierwszy tydzień praktycznie to się budowało. W drugim tygodniu się człowiek bawił. W trzecim jeszcze, a pod koniec wszystko się jak to się mówi trzeba było zebrać. Zostawić teren taki jaki był. I ja zostałam harcerką w (19)57, 15 lipca...w siódmym...? Dobrze – w siódmym, składałam przyrzeczenie harcerskie. A jak wróciłam to od razu zostałam drużynową, nowodworzańskiej drużyny w dwójce. I tą drużynę prowadziłam do [nie zrozumiałe], bo potem to się jakoś to się wszystko, po prostu urwały się te kontakty. Ja nie chodziłam do szkoły do dwójki, zbiórki jeszcze urządzałam, ale już nie byłam w tej szkole. Potem poszłam do Modlina i tak wolno, wolno odeszłam.

*Wracając do pani dzieciństwa, to pamięta pani jakieś smaki, zapachy?*

O tak, kociaki, kociaki to były kluski mojej mamy. Na kociaki to się schodzili wszyscy z Nowego Dworu. Moja mama była położną, miała dużo dzieci. Znajomych miała bardzo dużo. I ona robiła specyficzne kluski. One były mięciutkie, mało tego, nie rozpadały się, olbrzymie były. Zrobiła takie dwa kociaki ze skwarkami, bez farszu w środku. Ja wam powiem, że do dziś nie potrafię tego robić. To były kociaki. A drugie to była tak zwane [nie zrozumiałe]. Moja mama pochodziła z rodziny bardzo biednej, oni się tam specjalizowali w ziemniakach, mąkach, takich tam potrawach jak to się mówi.

A drugie to była tak zwane [nie zrozumiałe] to były takie ciasta, sama szykowała ja to nie robię, więc nie wiem. Gdzie rwała, rzucała na tłuszcz, na olej, to puchło i była najróżniejsze kształty, posypane cukrem pudrem one

zawsze na kredensie stały. Jak dzieciaki do mnie przychodziły to podjadały, takie smaki. Nienawidziłam barszczu dudkowego, który gotowała moja mama. I musiałam, żebyśmy zjedli, a dzisiaj go lubię. Co jeszcze takiego dobrego moja mama, moja mama była w ogóle była dobra gospodynią, od tego trzeba zacząć. Tata zawsze chwalił, że jak mama ugotuje to, może w każdym domu tak mówią, nie wiem, no ale ja wiem, że pamiętam tyle osób ile przychodziło - mama zawsze miała. A moja mama miała taką zasadę, że ja mogłam przyjść z pięciorgiem znajomych i dla wszystkich starczyło. Jak nagotowała zupy to dwa dni ta sama, ale dla wszystkich starczyło. Smalec robiony z jabłuszkami, skwarki tak po staremu, czosnku trochę dorzucała. Zawsze w glinianym dzbanku stał. Także jak człowiek był bardzo głodny to chleb, smalec posmarowany, ogórek w garść i leciał na podwórko. Kochałam lody, pamiętam jak wracałam z ogólniaka, znaczy, bo to na pieszo, z tym, że myśmy nie szli tak na okrągło, tylko szło się do początku miasta, schodziło się na dół przez wał, tak jak jest wieża Michałowska, na most, przy moście podchodziło się do góry, przejść przez most i schodziło się zaraz za mostem w dół i w zasadzie już się było w tym, w szkole, w ogólniaku. Potem w ostatnim roku puścili pamiętam autobusy. Wszyscy na te autobusy latali to ja też. Wejść do nich nie można było, stało się pod taką wielką topolą i czasami mówimy „po co my tu stoimy? Przecież to raz na jakiś czas leci, wiecznie zapchany, to przez ten czas co my tu stoimy i czekamy to byśmy już dawno...”. Bo ja z Paderewskiego do szkoły drogę robiłam w pół godziny. To nie jest wcale tak można powiedzieć długo. No ale przejechać się autobusem, ciągle autobusem. Na początku autobusy stawały tutaj, gdzie teraz jest parking stara budka totolotka była. Między jednym parkiem, zwanym Małpim Gajem, a dawnym rynkiem.